

Wyzwolenie Przedborza we wspomnieniach mieszkańc[...]

19.01.2015.

Styczeń 1945 roku był ważnym okresem w życiu mieszkańc[...]. Wojska sowieckie wyzwalały kolejne miasta i wioski spod okupacji niemieckiej. Po niemal sześciu latach dobiegała końca okrutna wojna. 16 stycznia wyzwolone zostało Radomsko, a 17 stycznia po zaciętych walkach oddziały I Frontu Ukraińskiego zdobyły Przedbórz. Dzień później wolność odzyskał Piotrków Trybunalski. Także 16 stycznia wyzwolone zostało Końskie. W styczniu tego roku minęło dokładnie 70 lat od tych wydarzeń.

Przedbórz bardzo ucierpiał w czasie II wojny światowej, miasto zostało zniszczone w 60%, ucierpiała także ludność, której ponad połowa (we wrześniu 1939 roku Przedbórz liczył ok. 7800 mieszkańc[...]), głównie ta pochodzenia żydowskiego, została wymordowana.

O samych walkach 17 stycznia 1945 w Przedborzu wiemy niewiele, zachowały się natomiast wspomnienia niektórych mieszkańc[...], spisane po wojnie.

Artykuł nie jest pracą naukową, ani do takiej nie pretenduje, jest to jedynie zestawienie wspomnień kilku osób, świadków tamtych wydarzeń, zacytowanych dosłownie, bez ingerencji w ich treść. Nie ponosimy odpowiedzialności za rzetelność i prawdziwość treści publikowanych wspomnień. Ocenę pozostawiamy Czytelnikowi. Gdyby ktoś z Czytelników chciał dokonać opracowania poniższych tekstów, bądź napisać artykuł historyczny nt. wyzwolenia Przedborza (bądź może na inny temat), chętnie opublikujemy materiał. W tej sprawie prosimy o kontakt.

Autorem jednych z nich jest Wacław Gnoiński (1902-1997) (oryginał znajduje się we wrocławskim Ossolineum, kopię udostępnił Paweł Zioba). Tak Gnoiński opisuje wydarzenia ze stycznia 1945 roku:

Nadszedł wreszcie czas i nieubłagana dla Niemców godzina, że zachwiała się ich potęga i pisaliśmy na murach zamiast „Sieg am allen Fronten“; „Lieg am allen Fronten“. Latem 1944 roku Niemcy rozpoczęli kopanie rowów przeciwczołgowych wokół miasta i zakładanie min, a ponieważ dom nasz był już za miastem, więc tu było najwęższe unerwienie przewodów doprowadzających do min, a także i padunków trotylu na szosie i bocznych drogach. Dom nasz był zagrożony, więc mieliśmy ułożony plan, że jak pokażą się znaki na ziemi i na niebie, że niebawem mogą wkroczyć do miasta wojska radzieckie, musimy dom opuścić i wyprowadzić się na wieś. Zrobiliśmy to daleko wcześniej, zamieszkaliśmy we wsi Policzko, oddalon4 od miasta około 4 km, a do mieszkania dochodziliśmy od czasu do czasu. Nawet zrodzieje w tym okresie byli sparaliżowani, nikt nic nie kradł, gdyż nie wiedział, co zrobi ze swoim dobytkiem i czy wyniesie z tego własną gołotę. Pięte z kolei było Bożego Narodzenia, w czasie których w gronie najbliższych osób składowaliśmy sobie życzenia: „Aby nastąpiła w Wolnej Polsce“; „minęły bez specjalnych niespodzianek, jakby ich w ogóle nie było, lecz nie to było najważniejsze. Z każdym dniem zbawczy pomruk dział i bomb był donośniejszy i lepiej słyszalny.

Pokażna ilość rodzin z tej dzielnicy, która była najbardziej zagrożona ze względu na rowy przeciwczołgowe, ziemianki, okopy, zaminowane przekopy i całe pola minowe przy szosie wlotowej do miasta, a wśród nich i my praktycznie nie mieszkaliśmy, lecz we wsi, jak już

wspomniałem. Tam też nie mieliśmy spokoju, zmuszeni byliśmy być siłą w piwnicach, stodołach, bo chodzili zdrajcy Własowcy i zabierali zdolnych do pracy przy kopaniu rowów, schronów, itp. My zaś nie chcieliśmy się rozłączać i przeżyć wspólnie z całością rodziną radosny moment wyzwolenia, które było już tak blisko, że widać go było nie uzbrojonym okiem. Każdy z nas był zdania, że byłoby najwłaściwsze skorzystać po przeżyciu pięciu koszmarnych lat wojny zginąć w ostatniej chwili, gdy wolno było być za progiem domu. Upłynęło jeszcze parę dni styczniowych roku 1945 i nastała grobowa cisza, jaka bywa przed majową nadzieją burzy. Postanowiliśmy przyjąć ze wsi do mieszkania i zabrać co tylko jest możliwe i wynieść, gdy liczyliśmy się z tym, że dom spłonie od tej masy trotylu, jaka w odległości około 100 metrów została zakopana pod mostkiem. Wykorzystaliśmy dosłownie ostatni moment, bowiem przyszliśmy przed wieczorem, a następnego dnia rano toczył się bój o Przedbórz. Wchodziliśmy do miasta jak do fortecy. Niemcy siedzieli w ziemiankach, krążyły tylko patrole, lecz nie bronili nam wynoszenia dobytku i nic ich nie obchodziło, gdy im te dyki się trzęsły na odgłos „katiusz”, które sorychały było z odległości około 10 km. Wyszedłem po spakowaniu najważniejszych rzeczy na ulicę, by zobaczyć, kto jeszcze został z sąsiadów, ale były tylko pojedyncze osoby, które podobnie, jak my przyszły po swoje rzeczy, od których dowiedziałem się, że gestapo zwinęło swój placówkę i nie ma ich już w mieście, a więc wyniosły się szczerzy z tonącego okrętu. W tym momencie wjeżdża do miasta oddział kilkunastu oficerów i podoficerów na koniach. Jeden z nich zatrzymał konia i poprosił mnie o ogień do zapalania papierosa. Zapaliłem zapalniczką i podałem mu, podziękował i kiedy ruszył ze swoimi powiedział „Iwan komm”. Miałem mu odpowiedzieć, że się z tego bardzo cieszą, ale zaniechałem tego zamiaru w obawie, że może znać język polski. Obarczeni tłumokami dobrnęliśmy do wsi Policzko już wieczorem, spotykając po drodze patrole niemieckie, ale te nie zaczepiały nas. Weszliśmy do piwnicy gospodarza wraz z małżonkami i tobozami, by się nieco rozprostować, gdzie było już kilkanaście osób, jako że piwnica znajdowała się na wolnej przestrzeni, była sklepiona i dawała pewne zabezpieczenie przed kulami lekkiego kalibru, a strażnicy sorychały było już z bliskiej odległości, najwyżej paru kilometrów. O wschodzie słońca, a było to, jeżeli sobie dobrze przypominam, 17 stycznia 1945 roku, zbudził nas z drzemki potężny szum i hałas pracy silników mechanicznych, lecz jeszcze nie byliśmy zorientowani czyich i jakiego gatunku, mogli to być jeszcze Niemcy, więc należało się lepiej nie pokazywać. Ciekawość przemogła i parę osób pociągnęło się do piwnicy i ledźć z poza budynków, co też może znajdować się na wąskiej ulicy, bo wjechały i stanęły pod osłoną zagajnika położonego po drugiej stronie wiejskiej ulicy, bowiem wieściągnęła się wzdłuż lasku – zagajnika. Gdy już jasno było ranku przemogła ciemności nocy, oczom naszym ukazały się cielska czogów z gwiazdami i katiusz, a na nich drzemliwych żołnierzy sowieckich. Zapanowała nieopisana radość pomieszana ze strachem, gdyż w drugim końcu wsi byli Niemcy, a wiadomo, jak się spotka Iwan z Frycem, to się całowała nie bądą. Mimo wszystkich nie sprzyjających okoliczności wyszliśmy na ulicę, by przywitać wybawców z niewoli babilońskiej. Na nasze powitanie uśmiechnęli się i poprosili o bezwzględny ciszą, a gdy oznajmiliśmy im, że w drugim końcu wsi są Niemcy, kiwali głowami, że wiedzą już o tym. Nie wiem już dokładnie, skąd wór nas znalazła się nasza lornetka, która ostatnie lata wojny spędziła w naszym domu pani Kalbarczyk. Kto ona była, skąd przyszła nikt nie wiedział i nie chciał wiedzieć, domylaliśmy się tylko, a nawet byliśmy pewni, że była ona dydką i że nazwisko Kalbarczyk przybrała sobie, bo na takie nazwisko zdobyła kenkartę, dowody osobiste wydawane przez okupanta. Trzeba przyznać, że rolę aryjki i katolickiego grała bez zarzutu, a pomocą w tym było to, iż wadała językiem polskim poprawnie i bez akcentu, chodziła do kościoła i ostentacyjnie odmawiała głośno pacierze i modlitwy, których wyuczyła się na pamięć, więc nikt z otoczenia nie znalazł jej pochodzenia, a nam jej ukrywanie się nie przeszkadzało. Znała dobrze język niemiecki, o czym przekonaliśmy się dopiero tam wodaćnie w Policzku, kiedy przyprowadzono do oficera radzieckiego, niemieckiego lotnika z zestrzelonego samolotu na przesłuchanie, a ona samorzutnie zgłosiła się na tłumaczkę. Krótko trwało nasze z radzieckimi żołnierzami spotkanie, bo czogi po chwili ruszyły na zachód w stronę miasta, a „organy Stalina” rozpoczął swój koncert. Detonacje i wiewst lecących na miasto pocisków były tak przerażające, że najodważniejsi zatykali sobie uszy i tłoczyli się, gdzie kto mógł do pomieszczeń, piwnic, byleby się odizolować od tego piekielnego wiewstu. Przebrzmiały salwy i po godzinie czasu całe zgrupowanie ruszyło do przodu, na jakieś 2 km od miasta zatrzymało się i znów rozpoczęła się kanonada ze wszelkiego rodzaju broni ręcznej i maszynowej, a Niemcy też nie przestawali, lecz pociski do nas nie dolatywały. Od czasu do czasu słyszeliśmy potężne detonacje. To wybuchy ładunków trotylu umieszczone pod mostkami na rowach przeciwczołgowych, co miało przeszkodzić wojskom radzieckim w zwyczajnym pochodzie w pogoni za Niemcami. Prężny trud i szczerzy, ciężka praca

setek ludności cywilnej i saperów wroga. Jeden czołg nie pojechał w tym kierunku, lecz ominął wszystkie umocnienia, radziecka zmotoryzowana kolumna zjechała Niemców od tyłu, w miejscu, gdzie ich się najmniej spodziewano, przez zaminowane pole. Wprawdzie pierwszy czołg utknął na minie na skutek uszkodzenia gąsienicy, ale minierzy podążający za nim szybko rozminowali wąskie przejście i tym szlakiem podążało całe zgrupowanie następujących czołgów wraz z piechotą doórłdmiecia. Wtedy dopiero rozpoczęli się bój załarty na wszystkie rodzaje broni, który trwał od rana do południa i nagle wszystko ucichło. Ja z synem Ryszardem udaliśmy się w stronę miasta, by zobaczyć, co się dzieje i dostać się ewentualnie do domu, jeżeli ten w ogóle istnieje.

Zbliżyliśmy się zagajnikiem do szlaku, po którym posuwały się radzieckie pojazdy i dotarliśmy na tak odległość, że można było gołym okiem zobaczyć zabudowania przy ulicy Kieleckiej i o dziwo – wszystkie domy stały i nasz też. Biegliśmy, jak na skrzydłach, byleby jak najszybciej znaleźć się w domu. Po kilkunastu minutach znalazłem się w ogrodzie, a oczom moim przedstawił się widok straszny: ziemia zryta pociskami, drzewa poćcinane, okaleczone, dołły, w oknach nie ocalała żadna szyba, ale dach nad górował ocalał, to najwężniejsze, gdyby to stycze. Byłem przewidujący i dubeltowe ramy okienne pozdejmołem oraz umieściłem je w piwnicy i tam ocalały, więc bądźcie można przezimować o pojedynczych oknach. Mieszkania odchodziły na wień celowo nie zamykali, bo liczyłem się z tym, że jak będą drzwi pozamykane, to żonierze nie tylko zamki uszkodzą, ale i drzwi popępią. Teraz więc mogłem drzwi pozamykać i wyjść na miasto, by ocenić zniszczenia, a Ryszard poszedł tam wprost, jak tylko zobaczył, że dom stoi. Wieża kościelna rozbita, kilka domów wórłdmieciu podziurawionych pociskami, przy ul. Kościelnej czołg radziecki spalony, a w nim zwąglone szczątki załogi, ulice zasłane trupami jednych i drugich wojsk, dopalają się domy, lecz oprócz radzieckiej służby drogowej, żadnych żonierzy nie ma, tylko z odległości kilku kilometrów z zachodu dochodzi odgłosy strzelaniny. Następnie odprężenie nerwów i uczucie zmęczenia, wyczerpania, ale wreszcie jesteśmy wolni, nie ma żandarmów, nie ma gestapo, a więc bądźcie można spać we własnym domu po latach strachu i udręki. Na drugi dzień poszliśmy z Ryszardem do Policzka po resztę rodziny i nasz majątek w tobołkach, by rozpocząć nowe życie od początku. Pierwszą czynnością było wyniesienie z piwnicy ocalałych ram okiennych i zabezpieczenie się przed zimnem. Drugą czynnością było usuwanie z pobojowiska miercionego sprzętu wojennego, jak granatów, kostek trotylu, wszelkiej broni palnej i zdobywanie drzewa na opa z ziemianek. Oprócz kilkudziesięciu kilogramów ziemniaków w piwnicy nic więcej nadającego się do zjedzenia nie było, gdyż nawet króliki angory pozostawione w klatkach, gdzie się rozbiegły w poszukiwaniu za pożywieniem. W ocalałych sklepach również nic nie było do konsumpcji, więc jedynym źródłem zaopatrzenia się w żywność była wień, gdzie można było kupić mleko, jaja i trochę maki, a czasem za grube pieniądze – „mięso z zabitej owini wraz ze słoniną”. Miasto na drugi dzień zarojone się podciągającymi oddziałami wojska radzieckiego, jak: tabory z amunicją, kuchnie polowe, konne powózki z żywnością, paliwo do pojazdów zmechanizowanych, ambulansy i wódrze administracyjne – NKWD i inne. W naszym mieszkaniu zakwaterowało się kilku żonierzy z oficerem i przy okazji piliśmy pierwszy raz od minionych lat oryginalną herbatę, którą nas poczęstowali. Znalazło się kilkunastu jeńców z Wehrmachtu, których radziecy żonierze powyciągali z ziemianek, prawdopodobnie mieli już do wojaczki i rozmyślnie nie wychodzili z ukrycia w czasie wycofywania się ich armii, woleli niewolę, niż dalszą bezskuteczną obronę. Tak przynajmniej sami zeznawali. Przydali się do zbierania poległych swoich braci i gromadzenia ich na cmentarzu przy kościele. W trzecim dniu w mroźny styczniowy ranek, przechodząc obok kościoła widziałem pokłony stos niemieckich poległych żonierzy, bo swoich wódrze radzieckie z miejsca zabierały, ale nie było ich dużo, zaledwie kilku. Trudno jakoś było nam się oswoić z faktem, że wreszcie minął koszmar okupacji, że nie widzimy już oprawców w błękitnych mundurach, że nie słyszemy tej gardłowej mowy i szyderczych spojrzeń żandarmów i gestapowców nadających na rozkraczonych

nogach. Teraz dopiero mogłam sobie przyznać do tego, że przed kilkoma miesiącami dla poskromienia noszących się wszechwładnie „Volksdeutschów”; w mieście (...).

Kolejne wspomnienia, które publikujemy, spisał Józef Kamiński (1918-1991), a znalazły się kilka lat temu na łamach „Gazety Radomszczańskiej”. Poniżej fragmenty wspomnień Kamińskiego (materiał udostępnił Łukasz Czuryłło):

Styczeń był nie tak mroźny, około 10 stopni. Z 16 na 17 stycznia mieszkałem wtedy przy ul. Pocztowej 8. Wieczorem przyszedł do mnie kolega Kierku Jurek. Mówił: „Boję się sam zostać u siebie”, ponieważ Niemcy wycofali się, a dom jego stał przy samym moście tak, że Niemcy wysadzając most, mogli uszkodzić także jego dom. Przez całą noc obserwowaliśmy latające pociski świetlne na kierunku Wojciechów-Policzko. Poprzedniego dnia byłem we wsi Smyków i widziałem uciekających Niemców, którzy pojechali brać ludzi do kopania okopów, ale pod wioską Stanowiska zostali ostrzelani przez jednostki radzieckie z cmentarza i dlatego tak wiali pieszo i na podwodach. Widział po nich było, jaki mieli strach. Chłopi z podwórka mówili, że Ruscy są już w Dobromierzu. Cała noc, tj. do godz. 12-tej Niemcy wycofywali się na Przedbórz ulicą Kielecką. Jechały trzy kolumny. Czołgi, pojazdy, samochody, piesi – byli taki tętok, że musieli czekać. Obserwowaliśmy ich, byli zdenerwowani i tylko krzyczeli „sznel, sznel, raus”. A my cieszyliśmy się, że ten „raus, sznel”; to kierunek na zachód, a nie – jak parę lat wstecz – na wschód. Po przejściu wojska nastała cisza, wyjrzelismy z bramy i zobaczyliśmy obserwatora niemieckiego, który wychodził z kościoła. Był ubrany w kożuch z lornetką i karabinek i poszedł w dół na Rynek. Poszliśmy znajomymi przejściami, zobaczyliśmy, gdzie on poszedł. Przeszedł Rynek i skierował się na most. Wtedy wyszliśmy na ulicę koło kościoła, ale ja w ruinach zauważyłem dwie grupy w czapkach czołgistów, byli to żołnierze radzieccy. Zauważyli nas, doszli, pytają: „Kto wy?” My mówimy: „Polacy”. Pytają: „Kuda Niemcy?” My im mówimy, żeby byli ostrożni, bo może gdzieś są w domach. „No, my tych Fryków ubijemy”. Doszło jeszcze kilku. Z nimi dowódca, zwiadowca, lejtnant. Po zapoznaniu się zaprosiłem dowódcę na posiłek. Wypił herbatę, zjadł i prosił tylko, żeby żołnierzom na warcie nie dawać wody. Wyszliśmy na ulicę. Z Kościelnej zjeżdżała czołg. Zauważyli go Niemcy, którzy mieli stanowiska artyleryjskie na Majowej Górze. Zaczęli strzelać i trafili w czołg. Jeden z załogi został zabity, drugi ranny. Rannego zabrali do szpitala, a zabitego na prośbę dowódcy pochowali przy wejściu na cmentarz kościelny. Potem strzały ucichły, my poszliśmy w stronę domu. Za jakieś pół godziny Niemcy poczynili ponownie strzał z armat. Pochowali się, gdzie kto mógł, bo pociski przelatywały nad nami i padały od 50 do 100 metrów, tam gdzie stały działania niemieckie opuszczone przez załogę. Potem trochę przestali strzelać. Natomiast z ulicy odezwały się strzały artyleryjskie. Było nas już kilku, między innymi Piątkowski, który umiał po rosyjsku. Wyglądamy z bramy, a tu czołg ustawiony niedaleko kościoła ostrzeliwuje wieś. Szkoda nam było zabytkowego kościoła, więc ja mówię: „Przecież znam tego dowódcę, chodźmy zapytać, dlaczego strzelają do kościoła” i poszliśmy: ja, pan Komar Franciszek, p. Piątkowski, tłumacz, kolega Kierku. Po przyjściu do czołgu pytamy lejtnanta, dlaczego strzelają do kościoła, a on powiedział, że na wieży musi być obserwator Niemiec i dlatego Niemcy wznowili ogień. Wiem, że z kolegą Jurkiem widzieliśmy, jak obserwator nad ranem zszedł i poszedł na most za Pilicą. Trochę nam nie wierzy, ale ja mówię, że jak nie wierzy, to chodźmy sprawdzić do kościoła. Popatrzył na nas i mówi: „charaszo”. Wziął 4 żołnierzy i poszliśmy do kościoła. W kruchcie żołnierze dla odwagi ostrzelali ściany i weszliśmy na chór i wyżej, aż do dzwonów. Nie było nikogo. Wtedy wprowadziłem lejtnanta na galerijkę, ponieważ dobrze wiedziałem, gdzie są zamaskowane działania niemieckie na Majowej Górze. Pokazałem mu gdzie, na którym pagórku. P. Piątkowski mu tłumaczył.

Lejtnant poklepał mnie po plecach i znów: „charaszo mołodiec”. Zeszliśmy na dół i poszli do czołgów. Wziął jeszcze drugi czołg i pojechali na ulicę Pocztową na tzw. „Winnicę”. Tam szybko postawił jeden czołg, a drugi niżej przy domu p. Wolskiej i otworzyli ogień. Po kilku strzałach na stanowiskach artylerii niemieckiej nastąpił wybuch. Lejtnant podskoczył uradowany i mówi: – „Charaszo mołodiec! Popal!” To znaczy, że trafili. Potem pokazał mi przeprawę przez rzekę od Koneckiej za parkiem i czołgi pojechały na zwiad. Teraz myślałem, że nasza stanowcza postawa i obserwacja Niemców [a potem poinformowanie] wojska radzieckiego uratowały zabytkowy kościół w Przedborzu.

Ignacy Bobras (1908-1971) tak opisał wyzwolenie Przedborza (wspomnienia spisał i opracował Wiesław Domagała, całość znajduje się TUTAJ):

Jest dzień 17 stycznia 1945 roku. Byłem w tym czasie na gajówce na Tarasie. O powitaniu, nad Przedborzem ukazał się wielki błąsk i były duże wybuchy. W pierwszym syczeniu nie wiedzieliśmy co to może być. A tu jak się w niedługim czasie okazało, to były wybuchy z katuszy. Wybuchy wysadzanych mostków na rowach przeciwczołgowych. Tych mostków było kilka: dwa koło Lembkiego, dwa na ul. Kieleckiej i dwa na ul. Włoszczowskiej. Te mostki wysadzili minami Niemcy, bo w tym dniu nadeszła Armia Radziecka. Całkiem niespodziewanie - po sforsowaniu Wisły k/Sandomierza. Armia Radziecka szła jak lawina. Strzelanina wytworzyła się koło Przedborza, od strony Włoszczowy. Niemcy też się ostrzeliwali, ale to było sporadyczne strzelanie. Raz, że w przygotowanych okopach było mało Niemców, ale też byli całkiem zaskoczeni. Wiele też się nie bronili, tylko rejterowali za Pilicą, na zachód.

Główny most na Pilicy też Niemcy zdążyli wysadzić w powietrze. W godzinach popołudniowych już Ruscy maszerowali przez Taras. Widząc co jest, wybrałem się z Tarasu na Budy Nosalewickie, do żony. Młoda mieszkała wtedy u Cygana, z Irką i Andrzejem. Obawiałem się, że coś może się stać z żoną. W drodze z Tarasu na Budy pierwszy raz spotkałem się z maszerującym oddziałem. Na pierwsze powitanie ledwo się wymigałem, bo już mnie chcieli strzelać, jako szpiega niemieckiego. Ale jakoś uszło. Ubranie miałem niewymienione, bo nie było w co się ubrać.

Młoda w nocy też nie miała dużego spokoju od Armii Czerwonej. A że było więcej ludzi z Przedborza, a w owej noc nocowali też tam Jeżewscy i udało się żonie. Dali jej spokój. Młoda przecieżyła młoda, miała 24 lata, a oni byli łakomymi na kobiety. Dodatkowo obłożona się Irką i Andrzejem i tak uszło. Ci co w nocy przyszli, oddalili się na zachód i już na razie był spokój.

Pierwsze moje wrażenie było zaskakujące, bo nie spodziewałem się po nich takiego obejścia i nieporządku jaki po sobie zostawili. Wszystko to szło od Włoszczowy, wszystkimi dającymi się przejechać drogami. Nie jechali jeszcze od Kołomyż, ponieważ za Kołomyżami, koło Opoczna została okrążona armia niemiecka, tak że ją stopniowo wykończali.

Gdy pierwsze zwarte sioły przeszły, zacząłem zaglądać do Przedborza. Mówiłem sobie, już co swoje zrobię - trzeba się brać do pracy. Co młodszych zacząłem werbować do milicji, do wojska, a reszta - trzeba się brać samorzutnie do pracy. Zniszczone było dużo budynków, chociaż nad Przedborzem nie było działań wojennych. Ale ruscy nie zważali na ogień, byli zżyci z ogniem. Gdzie się dało, to zostawiali popioły. Nawet nie miał kto ratować. Dużo dobrych domów było wypalone, chociaż ich dużo nie było. W 1939 roku zostało bardzo dużo spalonych przez Niemców. Tak, że za Niemców i obecnie - 55% zostało wypalonych - przez obie armie. W urzędach, sklepach - nic nie oszczędzone, zmieszane dokumenty. W mieszkaniach zniszczone meble, porcelana, ubranie. Nie spodziewałem się, że oni są tacy głodni i łakomymi. A co z kulturą, to

pożal się Boże! Najwiścej to ich interesowało bimber i kobiety. Co przeszli, to zostawiali jakby przeszedł cyklon. Jeszcze wspomnę, co do higieny i porządku. Od nich nie było można nic wymagać. Gdzie spać, to za swoją potrzebą nie szedł daleko - na progu, w kuchni, w pościel. No, wszyscy tacy nie byli. Byli też kulturalni, ale oni nic nie mogli. Po cichu mówili, że nie chcą się narażać, bo to wojna. A te dzikusy to mało sobie robili ze swoich przełożonych.

Pierwsze oddziały bojowe, to miały wszystko pod dostatkiem: broń wszelkiego rodzaju, dobre wyżywienie, ubranie jak się patrzy. Dostawali spirytus i szli naprzód. Te dalsze oddziały szły coraz gorsze i głośniejsze. W żadnych warunkach nie przebierali. Trzeba było trzymać się na uboczu, żeby z nimi mieć jak najmniej styczności.

Gdzie się człowiek ruszył, to spotykał zabitego Niemca. Obrabowanego do naga. Niemców nie było wolno grzebać, tak nago leżeli ponad miesiąc. Prawdą powiedziawszy, to Niemcy zasłużyli na to, choć nie wszyscy. Coż, wojna i to taka, że najwiścej giną niewinnych. Moim zdaniem, dobre to nie było, niedobry mało wpływ moralny.

Broni, amunicji, różnych warunków w warunkach - walało się w bród. Nie miało kto rozciąć dostatecznej opieki. Wadnych zarządów. Dzieci a nawet nierozsądni dorośli strzelali. A wieczorem, strzelanie było, jakby to był front. I śmiał zbierać swoje żniwo, i kłek co niemiara.

* Nie wszystkie z zamieszczonych zdjęć pochodzą z 1945 roku, mają jedynie obrazować ogrom zniszczeń miasta, dokonanych w wyniku działań wojennych w latach 1939-1945.